OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 1 Lutego 1865 roku.

Nr 5. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

Kościół Ś-go Karola Boromeusza w Warszawie.

Dawne ognisko grodu Warszawy, jak Stare-Miasto i okolice, największą liczbę posiada kościołów. Przedmieścia niegdyś i poblizkie wioski, dzisiaj wcielone w zupełności do stolicy, miały także ubożuchne kościołki drewniane, które po największéj części dla starości usunięte być musiały.

Południowo-zachodnia część miasta, najbardziéj ogołocona jest z kościołów. Podzielając niejako powszechne życzenia, *Klementyna z książąt Lubartowiczów hrabina Małachowska*, dziedziczka dóbr Lubartowskich w gubernji Lubelskiéj, ofiarowała złp. 200,000 na kościół pod wezwaniem Świętego Karola Boromeusza, dla parafji Wolskiéj pod Warszawą.



Kościół S-go Karola Boromeusza.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Gorazdowski).

Kamień węgielny położyli dnia 18 sierpnia 1841 roku, dwaj biskupi, ksiądz Chmielewski, suffragan i administrator archi-dyecezji, proboszcz Świętego Andrzeja i ksiądz Łubieński, prezydujący w komitecie budowy.

Fundusz, ofiarowany przez pobożną matronę polską, na skromny wiejski kościołek, wkrótce okazał się niedostatecznym na kościół miejski wielkich rozmiarów; fundatorka w tym samym roku 26 grudnia, zakończyła życie w Paryżu. Zaradzając potrzebie Rząd Królestwa do pierwiastkowego kapitału, dołożył raz rs. 22,500, drugi raz rs. 17,660. Reszta kosztów zaspokojoną została gorliwą pobożnością mieszkańców miasta i całego kraju.

Budowa kościoła zwolna postępowała; każdéj wiosny fabryka rozpoczynała się mszą Świętą w kaplicy Wolskiéj. Mury budowy jaśniały dnia tego illuminacją, fundamenta ubierano kwiatami. Wznosił się kościół z ciosu, marmuru, żelaza, miedzi i modrzewiu; wszelako, podobnież jak kościół Świętego Aleksandra, budował się lat 8 i cały stanął dopiero w r. 1849.

Na froncie kościoła, zbudowanego w formie krzyża, wznoszą się cztery statuy, wyobrażające Świętych doktorów kościoła: Hieronima, Ambrożego, Grzegorza i Augustyna. Na fryzie głównego frontonu, czytamy napis: *Bogu cześć, Świętemu Karolowi Boromeuszowi sława, wiernym zbawienie*. Frontony świątyni ozdobione są dokoła płaskorzeźbami, z których główna wyobraża Świętego Karola udzielającego Świętą Kommunję ludowi w czasie zarazy w Medjolanie roku 1576; druga

tegoż Świętego każącego do ludu, a ostatnia Świętego Karola rozdającego jałmużnę. Wspaniałe statuy na obu rogach peri-stylu umieszczone, wyobrażają Świętych Piotra i Pawła.

Po obu stronach kościoła, w ścianach zewnętrznych, są nisze zapełnione od ulicy Elektoralnéj statuami świętych patronów polskich, a mianowicie: Kazimierza, Bronisławy, Wojciecha, Kunegudy, Stanisława Kostki, Jadwigi, Salomei, Jana Kantego i Józefa oblubieńca. Ostatnia statua św. Jacka, już od koszar Mirowskich, poświęconą została d. 21 sierpnia 1864 roku. Pozostałe nisze oczekują zanim je zapełni duch pobożności katolików, ku większéj ozdobie świątyni i ku wspomnieniu rodakom wielkich zasług świętobliwych przodków.

Na szczytach wież i na frontonach, wznoszą się, jak tarcze ochronne, sześć znaków zbawienia.

Wewnątrz kościoła, pod kolosalnym obrazem Trójcy Najświętszéj, alfresko, to jest na murze wykonanym, umieszczony jest ołtarz wielki, z marmuru kararyjskiego, dar Augusta i Alexandry hrabiów Potockich. Nad ołtarzem widać herb Boromeuszów, a na podstawkach dwóch kolumn z marmuru siwego, herb Potockich Pilawa. W ołtarzu, zamiast obrazu S. Karola Boromeusza, patrona kościoła wstawioną jest tymczasowo kopja pięknego obrazu Corredżia, przedstawiająca Narodzenie Pańskie.

Po prawéj stronie prezbiterjum, jest kaplica Matki Boskiéj. W ołtarzu prześliczny obraz N. Marji Panny z dzieciątkiem Jezus, z wystawy w Paryżu nabyty — dar to Henryka Markoniego, budowniczego. W środkowéj ścianie zamieszczony jest portret Małachowskiéj, fundatorki kościoła.

W środkowéj kaplicy pod prezbiterjum, gdzie czasowo przechowują się ciała zmarłych, jest ołtarz z marmuru szwedzkiego i włoskiego.

W samym kościele ambona w postaci kielicha, dar Salwiana Jakubowskiego, ulana jest z żelaza.

Organy, wyrobu sławnego w kraju organmistrza Mielczarskiego, składają się z 27 głosów, lecz z powodu niedogodnéj miejscowości, mocno są uszkodzone.

Za małe są rozmiary tego pisemka, ażebyśmy wymieniali tu wszystkie szczegóły kościoła i ofiary pobożnych chrześcijan, niektóre nawet znakomitéj wartości, ku wzniesieniu i przyozdobieniu świątyni Pańskiéj złożone. Dobroczyńcy ci kościoła znaleźli już zapewne dostateczną nagrodę w sercach swoich, i w tem wewnętrznem zadowoleniu, jakiem Bóg obdarza wierzących i cnotliwych.

Dnia 3 listopada 1849 r., w wigilję św. Karola, biskup Łubieński, w assystencji duchowieństwa, bractw i mnóstwa ludu, przeprowadził od OO. Reformatów relikwie świętego patrona, niesione na marach przez czterech kapłanów, do dolnéj kaplicy rzeczonego kościoła. Nazajutrz, tenże sam biskup, w assystencji dwóch innych: Fijałkowskiego i Tomaszewskiego, poświęcił uroczyście dom Boży. W dniu tym pamiętnym, uczczonym muzyką utworu Elsnera, pierwsze kazanie o godności katolickich kościołów, miał ksiądz Jan Bogdan, słynny z wymowy kaznodzieja.

Z kościołem tym połączoną została parafja Ś-go Andrzeja, licząca około 20,000 dusz, która do owego czasu przy kościele OO. Reformatów istniała.

Dzieje parafji św. Andrzeja opowiemy wam kiedyś z obszernego opisu, przez ks. Józefa Steckiego, niegdyś wikarjusza tejże parafji, w roku 1859 sporządzonego, z którego główne fakta, jako zupełnie wiarogodne, do niniejszego wspomnienia z wdzięcznością poczerpnęliśmy.

PODRÓŻ W TATRY.

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 3 i 4).

III.

RANEK.

Po burzy śliczne nastało rano—natura cała była taka piękna, świeża jak dziewczę, gdy po długim płaczu pierwszy raz się uśmiechnie; powietrze było czyste, przejrzyste, drzewa świeże, zielone, na każdym listku drżały brylanty rosy, a w każdéj kropelce promieniły się światła wschodzącego słońca; ptaszki przelatując z drzewa na drzewo, ożywiały śpiewem okolicę.

Wyszedłem przed chatę—Tereska szła z sierpem w pole.

— Słyszeliście panie wczorajszą zawieruchę? spytała.

— Trudno było nie słyszeć—straszna była burza.

— Pewno się kto powiesił dzisiejszéj nocy; bez przyczyny nie było.

— Rozśmiałem się z zabobonu dziewczyny, i niechcąc jéj zabierać czasu, spytałem o brata.

— Poszedł siec trawę za dom; o! tam — widać go na pagórze.

— Pójdę trochę do niego, bądź zdrowa.

— Poszedłem więc na górkę położoną za domem, zkąd prześliczny widok rozlegał się na Tatry na przeciw leżące. Na tle niebiesko-perłowego nieba, rysowały się w najrozmaitszych załomach grzbiety gór, od Szląska aż ku węgierskim Tatrom, coraz to wyżéj. Były to niby stopnie do nieba wiodące, a ostatnim stopniem Łomnica, na którą teraz stała jasność wschodzącego słońca, niby otwarte niebo.

— Widzicie paniczu—tłomaczył mi Jędrek oparty na kosie—ta góra co się w tyle chowa, i mgłą się zamroczyła, to Pyszna, obok niéj Dzwon i Organy, a tu bliżéj nas, ta ruda góra—to Wirch-Czerwony.

— A to co za skały, dwie wysokie — sterczące nad zakopiańską równiną jak ściany zamkowe?

— To Gewont,—ej miłoż tam popatrzeć z miejsca na ten świat Boży: domy, chaty, miasta, kościoły i rzeki, widno jakby na papierze wymalowane, a takie to wszystko małe, że ledwie człek wierzy, że tam jego mieszkanie. Oto ta droga i Dunajec, to ztamtąd jak dwie cieniuchne wydają się nitki, rzucone na zielone łąki, a naszéj chaty, to ani się dopatrzeć; raz tylko, gdy byli w górach jacyś panowie, pokazywali mi jakąś rurę, przez którą moją chałupę widno było.

— A coś tam robił na górze?

— Ja juhasił panie—odrzekł góral, i podniósł w górę głowę z pewną dumą i uciechą. Ej wesołoć to panie juhasić, wesoło. Człek na górach taki swobodny, taki wesoły—zapomni o biedzie, o kłopotach, kiedy po turniach chodzi za owcami.

— A czemuż teraz nie juhasisz?

I jakże odejść chałupy, któż zrobi koło domu i w polu. Póki tatuś żył to było inaczéj.

— Machnął ręką, westchnął i począł machać kosą, a potem śpiewał sobie.

Na wysokiéj górze
Siedzi juhas w chmurze,
A owieczek wiele
Dzwoni jak w kościele.
Hu, ha!

A to co za góry, co od Gewontu ciągną się na zachód ku Kościeliskom?

— To *Kominy* panie—za niemi między Gewontem, a Czerwonym-Wirchem jest polana, Mała-Łąka, najpiękniejsza na całym Podhalu,—a te lasy widzicie, co się spinają ku Gewontowi—to Regle. Wam się zdaje, że one jakby przylepione do Gewontu, a przecież między niemi leży szeroki wąwóz i polana Strężyska.

A za Gewontem od wschodu słonka, Kondratowa, Goryczka, nad samemi hamrami(huty żelaza), to Nosal.

— A gdzie morskie oko?

— A, o Rybie pytacie?—O! Rybiego ztąd niewidać, ale widzicie te góry, po których teraz chodzą białe obłoki.—Tam gdzie góra jakby siodełko wygięta i śniegiem w załomach przysypana, to Zawral, pod nim zamarzłe Jeziorko; a tam z drugiéj strony Zawralu dolina pięciu stawów. Jak nią pojedziecie, to traficie na *Siklawę;* a jak się pereją (ścieszką), ku górze weźmiecie i przejdziecie dwa grzbiety, to traficie na Rybie, co leży, pod temi białemi ścianami Mnicha.

— A reszta gór, jak się nazywa?

— Eh! tego to już nie wiem, bo to już węgierska strona.

— Ta najwyższa o pięciu garbach, co na niéj siedzą jak sowy—to Łomnica pono?

—Łomnica? eh, my tu o żadnéj takiéj nie słyszeli, to Biała góra.

Domyśliłem się, że lud ma inne nazwy gór, różne nieco od naszych geograficznych, jak to się i późniéj przekonać mogłem. Odszedłem nieco w górę od Jędrka, i siadłszy na ściętem drzewie, rozpatrywałem się w całem półkolu gór, zaczynającem się od Kościelisk, a kończącem Łomnicą; orjentowałem się w nich podług opowiadania Jędrka i własnych domysłów układając plany do przyszłych wycieczek i to jak najprędzéj dopóki pogoda sprzyjała; musiałem jednak wstrzymać się dni kilka, na przybycie moich znajomych, samemu bowiem większe wycieczki robić niemiło.

Ponieważ żołądek począł mi radzić powrót do domu, usłuchałem go, i pożegnawszy Jędrka spuszczałem się do chaty, rozglądając się, po pięknéj zakopańskiéj równinie. Dołem wzdłuż górki Gubałówki, na któréj się znajdowałem, płynął czysty, szumiący Dunajec; nad nim porozrzucane chaty, wśród których drewniany kościół, błyskał w słońcu krzyżem. Z drugiéj strony rzeki, ciągnęły się świerkowe lasy na pół mili, aż do chat żelaznych P. Homulacza. Mieszkanie moje w bardzo miłem było miejscu. Na boku od drogi, w dole za rzeką, za małym brzozowym laskiem, stała chata matki Jędrka, przed chatą szeroka łączka, na któréj potem nie jednę letnią noc przeleżałem, zapatrzony w gwiazdy. Przed memi oknami był maleńki ogródek z kwiatkami, pielęgnowany rączką Tereski. Właśnie zastałem ją przed ogródkiem, żywo rozmawiającą z sąsiadkami.

— A widzicie—rzekła spostrzegłszy mnie—a nie wierzyliście jak mówiłam, że się ktoś powiesił, kiedy tak strasznie wicher szumiał.

— No, albożpowiesił się kto?

— Jeszcze gorzéj. Słuchajcie—w tej chacie przy drodze, gdzie stoi figura, Szymon powiesił swoją kobietę.

— Za co?

— Za nic. Szymon procesował się długo z braćmi swéj żony o kawał pola, aż proces przegrał. Więc się zemścił na kobiecie i zadusił ją w chacie, ale potem strach go wziął wielki, żeby się nie wydało, więc wyniósł babę na pole, zadzierżgnął jéj sznurek koło szyi i zawiesił na brzozie i uciekł. A nad ranem chodził od chaty do chaty pytać, czy kto jego żony nie widział? Potrwożyły się kumy i poczęły z nim szukać. Idą nad rzekę, aż tu na cienkiéj brzozie wisi trup—brzózka od ciężaru się zgięła i trup aż uklęknął na ziemi. Szymon począł biadać i lamentować, zeszli się ludzie ze wsi i począł się rozruch. Ale starzy kiwali głowami i głęboko patrzeli na Szymona, aż w końcu wymiarkowali, że gdyby nieboszczka sama się powiesiła, toby wnet żyć musiała, skoro brzózka się z nią aż ku ziemi zgięła. Chwytali więc Szymona i bić poczęli srodze, aż w końcu się przyznał. Ot patrzcie—przywiązali go do brzozy i czekają sędziego.

Uderzyło mnie niepomału to opowiadanie o tak strasznym wypadku; dziwiło, że lud sam sobie sprawiedliwość wymierzał, i że w tak okropny sposób wymógł wyznanie winy. Po głębszéj rozwadze mniéj się dziwiłem: lud tak długo zostawiony sam sobie, oddalony od sądów, musiał sobie wyrobić pewne wyobrażenie o sprawiedliwości, sądzić i wyrokować podług sumienia i zwyczajów. Zaszedłem na miejsce zbrodni i straszny zobaczyłem widok.

Wśród ludzi miotających przekleństwa i obelgi, siedział przywiązany do drzewa Szymon, zbity, pokrwawiony i pokaleczony—oczami dziko, błędnie rzucał do koła, a usta miał z wściekłości spienione, i odwracał się co chwila, by nie widzieć sinego trupa, co klęczał przed nim zaczepiony na brzozie.

— Będziesz i ty zbóju wisiał—wołały baby grożąc pięściami i przyskakując ku niemu.

— Dajcie mu pokój—aż sędziowie zjadą, reflektowali starsi.

— A kiedyż przyjadą? spytałem.

— Już posłaliśmy po nich — to może do jutra zjadą.

— Ależ zmiłujcie się, więc jego i trupa do jutra tak zostawicie?

— A tak panie, niech mu się dobrze wbije w pamięć co zrobił—niech mu nieboszczka przez noc jedną da się we znaki.

Wzdrygnąłem się na tę mściwą sprawiedliwość ludu, i odszedłem rozdrażniony, wzruszony.

Dowiedziałem się potem, że trzy dni wisiał trup i trzy dni leżał przywiązany do drzewa zabójca żony.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MIKOŁAJ KOPERNIK.

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 4).

Mikołaj Kopernik urodził się w Toruniu dnia 19 lutego 1473 roku, z ojca także Mikołaja, który w 1462 r. wspomniany jest w aktach krakowskich jako obywatel Krakowa. Toruń, jak wiadomo, był znaczniejszem miastem ziemi Chełmińskiéj, stano-

wiącéj od najdawniejszych czasów część Mazowsza. Do ośmnastu lat życia zostawał przy matce, i ukończywszy szkoły Poznańskie, a łaknąc wyższéj nauki, przybył w r. 1491 do Krakowa, sławnego naówczas akademją, głośną w Europie z nauki i wybornych wykładów professorów. Wielu młodzieży z obcych krajów, nawet ze Szwecji, udawało się tam na nauki, coraz bardziéj utrwalając i roznosząc daleko tak pochlebne o wszechnicy Jagiellońskiéj zdanie. Przedewszystkiem zaczął się uczyć Kopernik astronomji, którą nad inne gałęzie wiedzy przekładał, a znakomity Wojciech Brudzewski był jego professorem. Ukończywszy tu nauki i wydoskonaliwszy się w matematyce, zamieszkał następnie w Warmji przy wuju biskupie tamecznym; poświęcił się stanowi duchownemu i został kanonikiem. Włochy naówczas odznaczały się rozwojem sztuk i nauk, a znakomite wszechnice, szczególniéj Padewska, wykształciły jak wtedy tak i późniéj wielu znakomitych Polaków. Do Włoch więc wybrał się i Kopernik, pragnąc tam udoskonalić się w wiadomościach, których mu brakowało; podróż tę odbył w r. 1496. Zapisał się on w księgę uniwersytecką jako Polak, obok wielu imion polskich; żył w przyjaźni z Polakami i w całem jego życiu nie ma dowodu, aby nawet sympatyzował z Niemcami, którzy mu potem zazdrościli i wyśmiewali go przy każdéj sposobności. Otrzymawszy stopnie uczone, wezwanym został Kopernik w 1499 r. na professora nauk matematycznych do Rzymu. Wtedy to już stał się sławnym przez ścisłość swoich wykładów i gruntowność ukształcenia. Wreszcie, na wezwanie kapituły Warmińskiéj, powrócił do kraju w r. 1501. Lecz w tymże jeszcze roku, za powtórnem zezwoleniem kapituły, znowu udał się do Włoch, oddając się z zapałem astronomji a po części medycynie, aby tym sposobem usprawiedliwić spodziewanym pożytkiem dla kraju pobyt we Włoszech. Tu przeczytawszy wszystko, co starożytni i średniowieczni pisarze mówili o niebie, ziemi i gwiazdach, wiedziony swoim twórczym i potężnym umysłem, zaczął rozmyślać nad budową świata.



Przywiązali go do brzozy i czekają sędziego,—(str. 35, szp. 2). (Rysował Gerson—wyciął na drzewie Gorazdowski).

Wszyscy zaś ludzie przed Kopernikiem, tak samo jak i z was dzisiaj niektórzy, słabe tylko mieli pojęcie o kształcie świata i o niebie. Starożytni geografowie wyobrażali sobie naszą ziemię w rozmaitych postaciach. I tak za czasów najdawniejszych Homerycznych, ziemia wydawała się im czemś na podobieństwo talerza, na którym był kawałek dzisiejszéj południowéj Europy, zachodnią część Azji i północna strona Afryki z morzem Śródziemnem pośrodku. Ptolomeusz znowu w kształcie płaszczyzny długiéj i wązkiéj; na któréj także część tylko dzisiejszéj ziemi się znajdowała. Eratostenes także wyobrażał sobie świat długiem pasmem krajów, oblanem ze wszech stron oceanem. O Ameryce, Australji, północnéj Azji, wcale nie miano pojęcia. A chociaż za czasów Kolumba znano już daleko więcéj krajów, całą prawie Azję i Afrykę, około któréj zresztą Egipcjanie jeszcze podróże odbywać mieli, nikomu przecież niezachwianie na myśl nie przyszło, aby ziemia miała kształt kuli, i aby się obracała około słońca. Kolumb wpadając na te myśli i będąc przekonanym, że Indje wschodnie drugim swoim końcem zbliżają się ku zachodowi Europy, doszedł do wielkiego odkrycia.

W każdym razie, chociaż za czasów Kopernika, wiedzieć mogli uczeni o kulistości ziemi a nawet obrocie jéj około słońca, nikt jednakże nie umiał poprzeć tego dowodami, i ludzie pogrążeni byli w ciągłej co do tego niewiadomości. Dzisiaj nie trudno dowieść kulistości, choćby np. tem zdarzeniem, że pewnego razu ułożyli się podróżnicy, rozłączywszy się na jednym punkcie, iść, czy płynąć, jak wypadnie prosto przed siebie, naturalnie według wszelkiéj ścisłości matematycznéj, aby nie zmienić kierunku. I cóż, po długim przeciągu czasu spotkali się znowu w innéj części świata. Czy mogliby się spotkać, gdyby ziemia nie była okrągłą? Weź, posadź dwie muchy na stole i każ im (gdyby cię usłuchały) iść od siebie, nie złączą się nigdy, chyba, że się wrócą; ale posadź je na pomarańczy, aby poszły z jednego punktu w przeciwne strony, ujrzysz, że spotkają się na drugiéj stronie pomarańczy.

(Dokończenie nastąpi).

O R Ł Y.

Witaj mi orle, królewski ptaku! Twoja odwaga i siła, twój śmiały lot i bystry wzrok, uczyniły cię wodzem całego rodu ptasiego, i choć są większe od ciebie latawce, choć są strusie, kazuary i kondory, żaden z nich nie wytrącił ci berła dotąd ze szponów! Ty jeden byłeś godnym trzymać pioruny gromowładnemu Jowiszowi; ty jeden wodziłeś legjony rzymskie na podbicie świata; ty jeden stoisz jeszcze zuchwale w herbach dzisiejszych mocarstw.

Jeżeli człowiek, upadając z znużenia stanie na szczycie najwyższéj góry i sądzi, iż jest sam tak wysoko wzniesiony, a zwróci oczy ku niebu: to ujrzy tam, jeszcze wyżéj nad sobą, śmiało unoszącego się orła. Na niedostępnem urwisku skały założył on

swe gniazdo, a teraz buja w powietrzu, idzie w zawody z wichrami i chmurami, i śmiałem okiem patrzy w oko słońca. Jedynym żyjącym głosem jest tu już tylko jego krakanie; zresztą panuje poważne milczenie natury. Bo i cóż może orłu mącić spokój nad szczytami Pirenejów, nad lodowcami Alp, na cypliskach naszych gór tatrzańskich? Zaiste, chyba jedna burza, gdyż nie ma już innych potęg tam, gdzie:

,,Biodra Tatrów las osłania,
Ponad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orłów pióra."

Z takim skrzydlatym królem warto się zaznajomić; otwórzmy więc księgę natury, i przyjrzyjmy się bliżéj jemu i jego całéj rodzinie.

„Orły, charakteryzuje nasz znakomity ornitolog Tyzenhauz, mają dziób mierny, silny, ściśniony, od nasady prosty, w końcu prawie pod kątem prostym nagle w hak zakrzywiony; krajce gładkie, głowa i szyja gęsto pokryte piórami lancetowato zaostrzonemi; nogi potężne, całkiem lub do połowy upierzone; obówie nóg siatkowato łuskowate; palcogrzbiety tarczowate, szpony wielkie, ostre, w półkole zakrzywione; skrzydła długie, szerokie; czwarta i piąta lotka najdłuższe."

„Orły, oprócz wspólnych z sokołami obyczajów, odznaczają się wielkością, poważniejszą postawą, sroższym jeszcze wzrokiem, a razem potęgą, siłą i tym wyrazem przemocy, który od najstarożytniejszych zauważany narodów, postawił je na czele ptaków, tak jak lwa, nad czworonogie wyniósł zwierzęta."

W ogólności wziąwszy, rzadkim jest orzeł ptakiem, pomimo, iż w rodzie orlim kilkanaście liczą gatunków. Przyczyną tego jest powolne jego rozmnażanie, gdyż orlica nie znosi więcéj nad jedno lub dwa jaja, tudzież ta okoliczność, iż pojedyńczo, czasem po kilka sztuk, lecz nigdzie w stadach go nie widać. W przeciwstawieniu do puhaczów i sów, które są ptakami drapieżnemi nocnemi, zowiemy sępy, sokoły, kobusy, jastrzębie i orły ptakami drapieżnemi *dziennemi*. Cechą drapieżności tych ptaków jest to, iż polują na mniejsze ptaki i czworonogi, także padliną się żywią, a czasem rybą. I z orłów nie wszystkie krew zwierząt chłepczą; niektóre bowiem gatunki wyłącznie rybą, a mniejsze gadem lub owadem się żywią.

W Polskiéj ziemi, między licznem skrzydlatem obywatelstwem, znajdujemy także kilka gatunków orła. Najpospolitszym z nich jest *orzeł krzykliwy (Falco naevius)*. Jest on jednym z mniejszych, długość jego bowiem nie przenosi 22 cali, a trzyma się głównie w lasach, nad wodami. Także bardzo pospolitym jest *Orzeł bielik*, lub jak go Jundziłł zowie *Łomignat (Falco albicilla)*, wielki ptak, mający 3 a czasem i 4 stopy długości, zaś drugie tyle szerokości. Gnieździ się on u nas i zimuje. Również dość częstym, zwłaszcza nad wodami, jest *Orzeł rybitw (Falco Haliaëtos)*, który się wyłącznie rybami karmi i nie jest większym od orła krzykliwego. Inne orły są albo rzadsze, albo tylko przelotem widywane.



Pomnik Kopernika w Warszawie.
(Rysował Nowakowski—wyciął Regulski).



Pomnik Kopernika w Toruniu.
(Rysował Wojciechowski—wycięto w drzeworytni Stifiego i Regulskiego).

Oprócz powyżéj wymienionych, znajduje się atoli jeszcze jeden orzeł, ze wszystkich naszych najwspanialszy, t.j. *Orzeł*, którego Rzączyński *przednim*, Wodzicki zaś *płowym* nazywa, *Falco fulvus* podług Linneusza. Przypatrzmy się bliżéj temu wspaniałemu ptakowi.

Wysokość jego przechodzi półtora łokcia, a szerokość blisko 7 stóp. Cały waży około 10 funtów. Dziób jego rogowy z przodu czarny, w tyle jasnożółtą, około nozdrzy sinawą woskówką pokryty; *paszcza dochodzi pod oko;* barwa oka orzechowa; głowa i kark pokryte kończystemi, rudawo-rdzawemi piórami; całe upierzenie wierzchem ciemno-brunatne, spodem jaśniejsze; *ogon słabo zaokrąglony, brudno biały, szerokim, czarniawym pasem zakończony;* spodnie u samca prawie białe, u samicy jasno-żółtawe; palce jasno-żółte, a na ostatnim stawie każdego palca po trzy tarcze, jako osada silnych szponów.

Ten prawdziwie „przedni orzeł” znajduje się w Azji i w całéj Europie. Latem przebywa najczęściéj w wielkich, lesistych górach; zimową zaś porą zapędza się na równiny, gdzie za zającami po polach ugania i lata nad rzekami. U nas przebywa najwięcéj w Karpatach i w innych górskich lasach; lecz nie rzadkim jest także i w głębokich puszczach na równi jak np. w Zachodnich gubernjach, gdzie się gnieździ, i gdzie go z tatarska *Birkutem* zowią.

O pożywieniu jego tak mówi nasz ornitolog Konstanty Pietruski: „Zające, jagnięta, koźlęta, prosięta i pieski małe, stanowią główne pożywienie tego króla ptaków, na które spuszczając się niespodzianie i pędem z taką siłą uderza, że nie mają czasu uciekać, a ułowiwszy szponami, skrzydłami je przykrywa i częstokroć żywe jeszcze pożera... Łowi także gęsi, kaczki, kniejotki, indyki i inne ptaki. Na ścierwo idzie tylko z biedy, najczęściéj w zimie.” Włosy i pierze wyrzuca codziennie gałkami. Opowiada między innemi Pietruski, iż raz, gdy szedł przez góry w Stryjskiem, para tych orłów napadła mu suczkę tak gwałtownie, że ledwo mógł ją obronić.

Z majestatyczną postacią i przecudnemi jéj proporcjami, u orła przedniego, stoi tylko w rażącéj sprzeczności głos. Najczęściéj podobny on jest do przytłumionego szczekania młodego psa gończego, a czasem przenikliwie kwilący, zwłaszcza gdy orłu głód dokucza. Za to „orli wzrok,” jako symbol doskonałego wzroku, przeszedł już w mowę codzienną. I w istocie wart jest tego zaszczytu, gdyż bajeczne mierzy odległości. Ta okoliczność dała starożytnym powód do pięknego zmyślenia. Oto twierdzili oni, iż orzeł wynosi w szponach swoje pisklęta na słońce, i wyrzuca to z gniazda, które oczy bojaźliwie mróży. Później muszą także młode lecieć z nim wprost ku słońcu, a które upadają przed blaskiem złotych promieni, temi gardzi i odpędza je od siebie.

Orzeł przedni, pisze Pietruski, „gnieździ się na drzewach; rzadziéj na skałach. We środku miękko wysłane gniazdo jest otoczone wałem suchych gałęzi, a wewnątrz znajduje się jedno do dwóch jaj. Te jaja mają twardą skorupę, tło niebieskawo-białe, w skorupie niewyraźne popielate kropki, a z wierzchu mniéj lub więcéj żywe, mniejsze lub większe, często w kupkę zbiegnięte czerwono-brunatne plamki. Samica siedzi 30 dni na jajach, a młode dopiero po 5 tygodniach lotne.”

Trafia się czasem, iż orzeł przedni ulega przypadkowym odmianom barwy, częściowo lub zupełnie białéj. Niektórzy brali nawet takie odmiany za osobny gatunek.

Ujmującą jest troskliwość orła, z jaką się stara wyżywić i bronić swe pisklęta. Częstokroć z milowych odległości przynosi on im zdobycz do gniazda, w ich oczach rozbiera i żywi nienasycone maleństwo. Utrzymywano dawniéj, iż orzeł chwyta czasem małe dzieci z pola; jest to jednakże wymysłem, którego żadne spostrzeżenie dotychczas nie potwierdziło. Widziano już atoli, jak orły w kilku naraz rzucały się na wielkie, stare kozy i wspólnie je pożerały, lub młodym swym roznosiły.

Lecz nietylko troskliwość o wyżywienie swych piskląt, ale i narażająca się na niebezpieczeństwa miłość ku nim, cechuje orła przedniego. Wprawdzie niektórzy ornitologowie zaprzeczają wręcz, jakoby orzeł nie dozwalał człowiekowi zbliżać się do swego gniazda i piskląt; lecz inni przytaczają wypadki, gdzie orzeł z niesłychaną odwagą rzucał się na ludzi. I jedni i drudzy mogą mieć słuszność, opierając się na własnych doświadczeniach, bo czemuż by nie miały między orłami, tak jak i między ludźmi, istnieć różne stopnie miłości i przywiązania? Oziębłejsze dozwalają brać sobie młode; gorętsze bronią ich własną piersią. Jak rozpaczliwą bywa czasem ta obrona, pokaże następny wypadek.

Było to w illirskiéj części Alpów. Dwóch śmiałych myśliwych, Józef Jarnecz i Szczepan Frates, powzięli zamiar wdrapać się do orlego gniazda, i wybrać zeń do pół lotne pisklęta. Zaopatrzywszy się więc długą liną, workiem i niezłą flintą, wybrali się w drogę. Gniazdo było na niewielkiem urwisku skały, pod wysoką i prawie prostopadłą ścianą. Naśi myśliwi dostali się na szczyt góry, przywiązali swą linę do pnia świerkowego, i Jarnecz spuścił się ku owéj szczelinie, gdzie było orle gniazdo. Zaledwo zdołał zuchwały myśliwiec, największe pisklę włożyć do worka, gdy z szybkością błyskawicy spadł z góry stary orzeł, i zaciekłą rozpoczął walkę z rabusiem swéj dziatwy. I kto wie coby się było z nim stało, gdyby nie towarzysz jego Szczepan, który strzelił w téj chwili z wierzchołka góry, i trafił orła w locie. Oswobodzony Jarnecz, zabrawszy teraz i drugie pisklę do worka, zawołał na towarzysza, aby go wyciągnął do góry; lecz Szczepan był właśnie nabijaniem swéj flinty zajęty, co zresztą szło bardzo powoli, gdyż musiał amunicję ze wszystkich kieszeni wytrząsać. Zwłoka ta była zgubną; jeszcze nie skończył nabijać, gdy go doleciało złowieszcze krakanie samicy, która spadła z niesłychaną natarczywością na Jarnecza, usiłując go koniecznie strącić w przepaść. Szczęściem, był już sztuciec nabity. Szczepan wypełzał jak mógł najdaléj nad brzeg cypliska, zmierzył się i strzelił, lecz niestety spudłował w zbytecznéj obawie o towarzysza. Tymczasem zaciekłość orlicy zdawała się podwajać. Nadarmo szukał Jarnecz, wolną prawą ręką noża swego w kieszeni; nie mógł go wydobyć. Lecz w téj śmiertelnéj trwodze, wyciągnął czerwoną chustkę od nosa i zaczął nią wywijać ponad głową. Ta niespodziewana obrona zadziwiła orlicę, i wstrzymała ją przelęknioną tak długo na uboczu, aż wreszcie Szczepan powtórny raz nabił i śmiertelnym strzałem znowu uratował śmiałego towarzysza.

Niewiadomo nam co powyżsi myśliwi ze swemi orlętami uczynili; z innych jednakże wypadków wiemy, iż orły długo w niewoli żyć potrafią i nawet bardzo dadzą się obłaskawić. Oto co pisze o swoich orłach przednich ornitolog Pietruski:

„Posiadałem w różnych czasach trzy takie orły. Pierwszego dostałem jeszcze w szkołach, będąc we Lwowie.” „Ten był niezmiernie łaskawy i dobry, jadł mięso z rąk, a jak go było drażnić, to bił skrzydłami. Chowałem go na dziedzińczyku dwupiętrowéj kamienicy. Siedział sobie zawsze wolno na kojcu i okropnie powalał róg muru, z wielkiem nieukontentowaniem gospodarza, który przecież był tyle delikatnym, że nic nie mówił. Dopiero gdy nieszczęśliwym sposobem, moje żywe węże i padalce, aż do pokoju jego zalazły, oskarżył mię i słusznie, przed rodzicami. Ten orzeł, karmiony mięsem wołowem żył tak niemal rok cały, ale razu jednego wzbił się w górę, przeleciał przez dach, i już go więcéj nie widziałem.”

„Drugiego miałem z Lisowic; ten mi także uciekł. A trzeciego i ostatniego dostałem ze Skolego od p. J., któremu się naprzykrzył z przyczyny, że saméj pani

ulubioną jéj kotkę zajadł. Tego trzymałem już porządnie w klatce przez 5 lat karmiąc go kurami, srokami i mięsem. Są to piękne, szlachetne, i jak się z niemi dobrze obchodzić, wysokiéj tresury i ułaskawienia zdolne ptaki, tylko że na żer bywają wymyślniejsze jak (orły) *łomignaty*, bo ścierwa cuchnącego nie-ruszają. Chcąc je długo przy dobrem zdrowiu utrzymać, potrzeba im dawać przynajmniéj raz na tydzień żywe ptaki, szczenięta młode i t. p., bo ciepła krew, pióra i włosy, które razem z mięsem i kościami połykają, są tym orłom dla strawności niezbędnie potrzebne."

Tak chowany może orzeł przedni wytrwać dwadzieścia lat i dłużéj w niewoli. Ułowić je trudno; czasem wpadają do wilczego dołu. Lotek orła przedniego i piór z ogona, używają do upierzania strzał.

Wiek orłów i sępów kładą niektórzy bardzo wysoko. Podanie nawet twierdzi, iż orzeł dla tego tylko umierać musi, że mu wierzchnia część dzioba tak przerasta i w kabłąk się zagina, iż nie jest już w stanie chwytać nią pożywienia. Krótka rozwaga, pouczałaby raczéj, że dziób się częstem używaniem ściera i tępi—lecz mimo to podanie jest zawsze poetyczne, a w jenjalny sposób umiał z niego skorzystać nieśmiertelny Mickiewicz opisując smętarzysko zwierząt:

„Mają też i swój smętarz, kędy blizcy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź gdy zjadłszy zęby strawy nie przeżuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już nogi ledwie suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk gdy już posiwieje, sokół gdy oślepnie,
Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
Idą na smętarz."

Jak wszystkie w oczy uderzające zjawiska, tak i wspaniała postać orła, stała się przedmiotem wyobraźni ludów, a wreszcie ich przesądów. Starożytni pobratali orła z Olimpem, i czynili go wyższym nad grozę niszczących żywiołów, gdyż piorunowi nie było wolno go razić. Otwórzcie kroniki średniowieczne: obok ogoniastych komet, ognistych słupów, krwawych deszczów, wspominają one także, o napowietrznych bitwach orłów, tych panów powietrza, i zabobonne wyprowadzają ztąd wnioski. Wyobraźnia robiła nieraz ludzi orłami po śmierci. Jak dusza Artusa, sławnego księcia brytańskich plemion, przeszła po śmierci w kruka i żyje dotychczas, tak u nas każdy z rodziny Herburtów w orła po zgonie się zmieniał. Wyobraźnia czciła tych ludzi, dając ich duszom orle skrzydła, ów wielki dar natury.

Nigdy nie zapomnę jednéj chwili w mem życiu. Stałem samotny na szczycie wysokiéj góry, gdy wichry się zerwały, chmury jak duchy się zbiegły, a grzmot i błyskawica zaczęły czarne ich wnętrze rozdzierać. Podniosłem oczy ku niebu: pomiędzy mną a chmurami bujał spokojnie orzeł. Uczułem się wyższy tak wspaniałem sąsiedztwem, i z dumą wyrzekłem: „Świat leży tam w dole pod memi stopami, a tu nikogo, nikogo nie ma, tylko burza, orzeł i ja, a nad nami Bóg!"

ROZMAITOŚCI.

Ukształcenie serca i rozumu nabywa się przez naukę, któréj pierwsze początki wynosiemy ze szkolnéj ławy. Lecz aby światełko, wzorami życia zatlone, przyświecało i przez resztę dni naszych ku pożytkowi i chwale Bożéj, trzeba je podsycać przez ciągłe nabywanie nowéj nauki. W dalszych kolejach życia, gdy przychodzi pracować około chleba powszedniego, zbywa już na czasie do odwiedzania szkoły, zastąpić więc ją musi czytanie pożytecznych książek i pism perjodycznych. Tym sposobem rozszerzamy nabytą w szkole naukę, nabywamy pożytecznych i ciekawych wiadomości, a umysł chroniemy od gnuśnéj odrętwiałości, w jaką popada u ludzi nie zajmujących się czytaniem.

Potrzeba kształcenia rozumu na książkach jest wspólna wszystkim ludziom, którzy przejrzeli w swéj ciemnocie; a że jednak nie wszyscy są równo rozwinięci i usposobieni, więc też nie wszyscy z pożytkiem każdą książkę czytać mogą. Ci co nie odebrali wyższego wykształcenia i są umysłu prostszego, muszą czytać książki o przedmiotach ich obchodzących, jasne i łatwe do zrozumienia. Wiedzą o tym ludzie zajmujący się pisaniem książek, i talentu swego tak używają, aby dzieła ich odpowiedziały potrzebie czytelników, którzy tylko elementarne szkoły pokończyli. Ztąd powstały większe i mniejsze dziełka przeznaczone dla ludu, które stanowią osobny oddział piśmiennictwa.

U nas długi bardzo czas nie zajmowano się wcale pisaniem książek dla ludu, ale przed kilku laty, gdy zobaczono że zacni czytelnicy klass średnich chętnie się garną do nauki, wydano mnóstwo książek, z których wiadomości lub rozrywkę czerpać można. Jest więc dzięki Bogu w czem wybierać; idzie tylko więc już o to aby wybierać te książeczki co są najlepsze i najpożyteczniejsze, gdyż jak we wszystkich rzeczach ludzkich, tak i między książkami obok ziarnka ciężkiego znajdują i plewy.

Dla ułatwienia czytelnikom naszym wyboru, będziemy wszystkie nowo wychodzące dla ludu książeczki pilnie przeglądać i o każdéj szczegółową zdamy sprawę, wskazując zarówno zalety i wady.

Oprócz kalendarzy, wydawnictwo ludowe w Warszawie mało co nowego przygotowało, ale za to nakładcy w Wielkiem Księstwie Poznańskiem mnóstwo książeczek drukują. Nie dziwiemy się temu, gdyż u nas czytelnictwo książek ludowych nie jest tak bardzo rozwinięte jak w Poznańskim i na Szlązku, gdzie każdy wieśniak i rzemieślnik czytać umie i lubi. Nawet w najdalszych krańcach ku morzu Baltyckiemu, gdzie mowa polska istnieje, na Kaszubach, coraz więcéj książeczek wychodzić zaczyna. Piszą je księża, dbali o rozkrzewianie wiary, moralności i języka. Do takich książeczek wydanych w Pelplinie, należy wyszła przed niedawnym czasem praca księdza Szczepana, pod tytułem: *Jad człowieczy*. Są to nauki przeciwko przekleństwom i złorzeczeniom, tak bardzo w mowie ludu upowszechnionym, a tyle szkody zdrowéj moralności przynoszącym. Język czysty, wykład jasny i dla każdego zrozumiały, zalecają to dziełko. Ksiądz Marański w Chełmie w Prusach, wydał książeczkę pod tytułem: *Co się działo w Kaszubach za dawnych czasów*. Są to właściwie życiorysy rodziny Kostków wzrosłéj na Kaszubach, między którемi Stanisław Kostka zajaśniał świętością. Ksiądz Marański przygotowywa obszerną historję plemienia Kaszubskiego.

Zalecić nareszcie możemy czytelnikom, jako książeczkę wielkiego gospodarskiego użytku, pracę pana Łyskoskiego, pod tytułem: *Nauka o płodozmianie*. Jest w niéj najprościéj i najjaśniéj wyłożony sposób przejścia z dzisiejszéj trzypolówki na gospodarstwo płodozmienne, nie tylko tam gdzie dużo

ziemi, ale i tam gdzie jéj jest niewiele jak u kolonistów i u zamożnych włościan naszych. Gdyby więc czytelnicy zrozumieli i rady zawarte w téj książce zastosowali praktycznie, ujrzelibyśmy wkrótce kraj bogaty obfitością plonów, które są skutkiem pracy i dobrego gospodarstwa.

✝ Z grona współpracowników niniejszego pisma wymienionych w prospekcie, którzy tak skwapliwie wsparli nasze zamiary, już dwóch niestety! ubyło, nazwiska ich Klemens *Wydrzyński* z Warszawy i Józef *Dzierzkowski* ze Lwowa. Pierwszy zmarł w dniu 1 grudnia r. z., a drugi 13 stycznia r. b. Obaj oni nadesłali swe prace do Opiekuna Domowego, które wkrótce czytać będziecie.

Myśli i Zdania.

— *Burze losu* podniecają moc i zdrowie duszy, tak jak drzewa oliwne lepszą dają oliwę, kiedy wiatr złe owoce potrząsa.

— Ze wszystkich zmysłów *słuch* rozwija się najwcześniej; ztąd też np. umierają liczne pisklęta w jajach i liszki jedwabnicze na morwach, jeżeli w ich blizkości wystrzelisz z pistoletu; słuch też trwa najdłużéj. Człowiek np. w letargu utraca wszystkie swoje zmysły prócz słuchu.

— Wszystkie doły, z powodu próżni i ciemności, wydają się o połowę większemi tak samo i grób.

— W potoku czasu komar i słońce płyną obok siebie, żadne prędzéj.



Orzeł królewski.—(str. 38, szp. 1).—(Rysował Podbielski—wyciął na drzewie Walter).

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 20 Stycznia (1 Lutego) 1865 r.